



Tytułem wstępu

Marek Okólski

Ośrodek Badań nad Migracjami UW



Z satysfakcją informujemy, że Instytut Pamięci Narodowej wspólnie z Instytutem Studiów Politycznych PAN wydał właśnie „Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949-1989” - pracę Dariusza Stoli, jednego z filarów naukowych Ośrodka Badań nad Migracjami UW.

Na tę książkę środowisko badaczy migracji z Polski czekało wiele lat. Prof. Stola nie krył się ani z tym projektem, ani z trudnościami, jakie napotykał w jego realizacji. Oczekiwania były siłą rzeczy duże.

Dziś wprawdzie dysponujemy już bogatym zasobem informacji o migracjach Polaków w okresie PRL. Badacze tego zjawiska zdają sobie jednak sprawę, że obraz, jaki wyłonił się na podstawie statystyk i dotychczasowych wieloaspektowych opracowań przyczynkarskich czy nawet pogłębionych analiz, ma „drugie dno”, swoją odrębną historię, dotychczas słabo poznaną, „stworzoną” przez ówczesnych komunistycznych demiurgów społeczeństwa. Dariusz Stola

wszedł dodatkowo w tę właśnie materię, dzięki systematycznemu spenetrowaniu archiwów komitetu centralnego partii oraz biur paszportowych. Odsłonił to drugie dno. Czy zmieni to naszą wiedzę o peerelowskiej migracji? Z pewnością wzbogaci.

Możliwość wyjazdu za granicę w czasach PRL należała do dóbr szczególnie cenionych. Uczyniono z niej swoisty symbol wyzwolenia oraz obiekt pożądania lub zazdrości, a z drugiej strony instrument nagradzania lub karania, a nawet szantażu i policyjnej inwigilacji. Z czasem relacje symboliczne Polaków z członkami rodziny i przyjaciółmi mieszkającymi w innych krajach, a także realne podróże za granicę, oplotły polskie społeczeństwo gęstą siecią zależności i instytucji, której samo opresyjne państwo stało się w końcu niewolnikiem. Wyjazdy za granicę stały się integralnym elementem wstępu i upadku państwa komunistycznego. Książka Stoli, która nareszcie ukazała się drukiem, jest także - a może głównie - historią społeczną i polityczną PRL, opowiedzianą z perspektywy podróży zagranicznych i migracji.

Czytałem tę książkę z zapartym tchem i z niekłamana przyjemnością. Tego też życzę Państwu, kolejnym czytelnikom.

Tytułem komentarza - dok. na s. 2

Anna Kicinger

Środkowoeuropejskie Forum Badań Migracyjnych i Ludnościowych

Niedawno wydana pozycja prof. Dariusza Stoli (Collegium Civitas, Instytut Studiów Politycznych PAN, Ośrodek Badań nad Migracjami UW) zapełnia znaczącą lukę w polskich badaniach migracyjnych. W książce po raz pierwszy całościowo zostało przedstawione tak ważne społecznie i ekonomicznie zjawisko, jakim były migracje z PRL. Dodajmy od razu - migracje szeroko zdefiniowane. Autora w równym stopniu zajmują migracje osiedleńcze i czasowe, legalne i nielegalne. W książce znalazło się też miejsce na kwestie związane z bardzo krótkoterminową mobilnością zarobkową, w tym handel. Dzięki temu uzyskaliśmy kompleksowy obraz, w którym ujęto bogate spektrum strumieni mobilności międzynarodowej z PRL.

Walory poznawcze książki są nie do przecenienia. Czytelnik otrzymuje usystematyzowaną wiedzę na temat skali i form migracji Polaków od końca lat 1940. do 1989 r. Dzięki materiałom zgromadzonym w trakcie szeroko zakrojonej kwerendy archiwalnej, czytelnik po raz pierwszy uzyskuje informacje o skali, kierunkach i charakterze migracji, oparte nie tylko na statystykach GUS, ale przede wszystkim na danych gromadzonych przez ówczesne MSW. Co warto podkreślić, wszelkie przedstawiane liczby są poddane krytycznej analizie i konfrontacji z innymi dostępnymi źródłami.

Autor przedstawia zjawiska społeczne, których ogromna większość nie była wcześniej przedmiotem tak obszernych badań - przede wszystkim rozwój międzynarodowej mobilności zarobkowej Polaków oraz emigrację osiedleńczą. Kwestie te, uprzednio badane dość wycinkowo, doczekały się tym samym po raz pierwszy całościowego opracowania. Również strumienie migracji, które były już wcześniej przedmiotem dość dogłębnych studiów, jak np. emigracja z Polski do Niemiec czy emigracja Żydów, nie zostały pominięte. Autor w tym wypadku poszerzył istniejącą wiedzę o nowe ujęcia oraz o pogłębioną analizę, która była możliwa dzięki szerokiej perspektywie badawczej i umiejscowieniu poszczególnych strumieni migracji w całym nurcie odpływu i mobilności obywateli PRL.

Rzetelnie przytoczone fakty, sumiennie zweryfikowane dane statystyczne i skrupulatnie udokumentowane szacunki autora stanowią punkt wyjścia do pogłębionej analizy przyczyn, charakteru i skutków migracji. Możemy stwierdzić, że omawiana praca może pretendować do miana kompendium wiedzy o migracjach z PRL.

Jest to książka nie tylko o migracjach, ale również o migrantach, o aktorach polityki migracyjnej, i wreszcie o samej polityce migracyjnej. Podkreślić tu trzeba rozmach przedsięwzięcia badawczego zaplanowanego i zrealizowanego przez autora. Na uwagę zasługuje zwłaszcza rekonstrukcja i analiza polityki paszportowej, która zajmuje pokaźne miejsce w publikacji. Autor nie ogranicza się do przedstawienia polityki jako czynnika wpływającego na migracje, ale z pasją przedstawia także meandry jej tworzenia.

Uwagę zwraca kunszt pisarski autora, który zachowując w pełni rygor rzetelności naukowej, stworzył pozycję zajmującą i przystępną dla czytelnika. Autor konstruuje narrację jak zręczny operator filmowy, którego kamera bądź oddala się, by ująć szerszą perspektywę, bądź przybliża, by przedstawić badany przedmiot w taki sposób, aby nic nie umknęło uwadze widza. Choć w książce dominująca pozostaje perspektywa odpływu migracyjnego w skali kraju, to obraz ten uzupełnia perspektywa migrantów, który podejmuje decyzję o migracji, perspektywa sieci migracyjnych, w których on funkcjonuje, perspektywa maszyny administracyjnej, w której stara się o paszport, czy wreszcie perspektywa wysokiego urzędnika MSW, który tworzy wytyczne polityki paszportowej zgodnie z linią polityki obroną przez Komitet Centralny PZPR.

Książka jest lekturą pasjonującą. Autor posługuje się barwnym językiem i nie stroni od zapadających w pamięć metafor i porównań, które sprawiają że przed oczami czytelnika maluje się miasto historii, przez które wartko lub leniwie płyną mniejsze bądź większe strumienie migrantów. Suche statystyki i wyliczenia ożywiają w wyobraźni czytelnika, gdyż nie brakuje ilustrujących je przykładów konkretnych osób, zwłaszcza migrantów, którym autor oddaje głos, cytując ich listy bądź pisma kierowane do urzędów.

Tym, co wyróżnia pracę Dariusza Stoli na tle innych prac historycznych poświęconych wcześniejszym migracjom, jest połączenie podejścia historyka badającego migracje epoki zakończonej w 1989 r. i badacza współczesnych migracji. Choć pozycja ta jest monografią historyczną, to jednak przeniknięta jest duchem współczesności. Autor pełnymi garściami czerpie ze współczesnych podejść w badaniach migracyjnych. Jak zastrzega już we wstępie, nie przyjmuje jednej dominującej perspektywy teoretycznej spojrzenia na migra-

Dok. ze s. 1

cje, lecz sięga do bogactwa podejść teoretycznych wypracowanych przez badaczy migracji z różnych dyscyplin naukowych. Przedstawiona historia migracji z PRL nie jest zatem historią odległą, gdyż jest ujęta w strukturę pojęciową i poznawczą współczesnych studiów migracyjnych.

Niewątpliwie odmienna może być percepcja książki przez tych, którzy pamiętają PRL, i tych, którzy są zbyt młodzi, by pamiętać regulacje paszportów, wopistów na granicach, bony Pekao czy ma-

gię zakupów w Pewexie. Książka jest adresowa do obu grup czytelników. Pamiętający PRL z pewnością odnajdą w niej fragmenty własnej codzienności - historie swoich migracji, wyjazdów osób znajomych bądź zasłyszane.

Dla młodych czytelników z kolei książka może stanowić cenne źródło wiedzy o życiu w Polsce Ludowej. W tym kontekście wpisuje się ona w nurt publikacji historycznych, które pogłębiają i odkłamuja naszą wiedzę o rzeczywistości społeczno-politycznej PRL.

Wywiad z Autorem książki - prof. Dariuszem Stolą - dok. na s. 3 i 4

Maciej Szczepański: Co skłoniło Pana do zajęcia się zagadnieniem migracji z Polski Ludowej?



Prof. Dariusz Stola: Temat migracji z PRL leży na przecięciu dwóch pól moich zainteresowań: badania migracji i historii najnowszej. Historią migracji z Polski zajmuję się od dawna, poczynając od pracy magisterskiej pisanej w latach 1980. Migracje z PRL przyciągały mnie i jako historyka, i jako badacza migracji, a otwarcie archiwów pozwoliło mi zaciekawienie zamienić w badanie. Pozostał nam - badaczom migracji i historykom - fascynujący spadek po PRL w postaci archiwów policyjnych i partyjnych. To chyba jedyny plus państwa policyjnego, że charakterystyczna dla niego skłonność do jak najszerzego nadzorowania życia obywateli, to policyjne podglądactwo, pozostawia przyszłym badaczom przebogate zbiory archiwalne. W pewnym sensie PRL to był taki dziwaczny eksperyment społeczny, z którego SB, aparat partyjny i inne urzędy sporządzały raporty... na użytek naszych dzisiejszych analiz. Umiejętnie je czytając, można wiele dowiedzieć się o socjologii migracji, możliwościach i ograniczeniach polityki migracyjnej, działaniu sieci społecznych, wykorzystaniu kapitału społecznego i o wielu innych kwestiach kluczowych dla zrozumienia migracji jako takich.

Z kolei jako historyk poprzez badanie migracji mogę dowiedzieć się wiele o naturze PRL i ówczesnego społeczeństwa polskiego. Badając migracje, masowe zjawisko społeczne o złożonych przyczynach, możemy poznać wiele czynników je kształtujących - społecznych, gospodarczych, politycznych czy kulturowych. Analiza takiego zjawiska to jakby badanie pod mikroskopem wycinka tkanki jakiejś rośliny: oglądamy tylko część tej rośliny, ale na tej podstawie możemy wiele powiedzieć o całości. Emigracja jest tylko fragmentem historii Polski, ale jak mu się dobrze przyjrzymy, to możemy dowiedzieć się bardzo wiele o szerszej historii społeczno-politycznej. Dlatego moja książka pokazuje nie tylko wąsko rozumiany przebieg migracji w pewnym okresie, ale też ich szersze tło - historię państwa zwane-go PRL i społeczeństwa, które w nim żyło.

Dzięki temu, że w 1989 r. mieliśmy rewolucję, materiały wytworzone przez komunistyczne aparaty policyjne, partyjne itp. są dziś dostępne, i to znacznie łatwiej dostępne niż akta paszportowe na Zachodzie. I jest ich bardzo dużo, gdyż uniknęły zniszczenia w roku 1989. Mało kto wie, że większość zasobów archiwalnych IPN, które mają 90 km długości (tyle wynosi łączna długość półek zapchanych teczkami), to właśnie akta paszportowe. Media szukają w nich tylko sensacji w rodzaju, czy Kowalski był agentem, a jest tam wiele dużo ciekawszych i ważniejszych informacji.

Są też pewne względy osobiste: to po trochu i moja historia. Sam byłem migrantem w latach 1980. Jako student pracowałem za granicą, podobnie jak wielu moich przyjaciół i parę milionów innych osób. Doświadczenie migracji zarobkowych to poniekąd doświadczenie pokoleniowe. Tak jak osobom, których relacje przytaczam w książce, mi także po powrocie śnił się sen, że nie mogę się wydostać z kraju. Poznałem też przyjemną stronę ówczesnych migracji: siłą nabywczą przywiezionych z Zachodu dolarów. Kiedy mój ojciec zarabiał w Polsce równowartość 30 dolarów, ja po pół roku pracy za granicą wróciłem z kilkoma tysiącami, czyli odpowiednikiem paruset miesięcznych pensji...

Badania na temat migracji z PRL prowadzę od ponad 15 lat, aczkolwiek z licznymi przerwami, kiedy skupiałem się na czym innym. Pod koniec lat 1990. obawiałem się, że nic z tego nie wyjdzie, bo w związku z przenoszeniem archiwów SB z MSW do IPN przez dłuższy czas, kilka lat, niemożliwy był dostęp do tych akt. W końcu jednak archiwum IPN otwarto, dziś może korzystać z niego praktycznie każdy. Te akta były głównym źródłem w mojej pracy, ale

bynajmniej nie jedynym. Każdy rodzaj źródeł ma swoją specyfikę, charakterystyczną perspektywę, język, zainteresowania i przemilczenia. Bazowanie na tylko jednym typie źródeł ogranicza horyzonty myślenia i spłaszcza widzenie świata. Dlatego tak cenne są wszelkie relacje, wspomnienia i listy migrantów. Ich też jest niemało, i z każdym rokiem więcej. W prasie i w internecie spotykam coraz więcej wspomnień różnych osób, które wyjechały z PRL na stałe albo pracowały wtedy za granicą. Ostatnio, po wydaniu książki, kilka osób opowiedziało mi arcyciekawe historie o swoich migracjach. Na przykład pewien emigrant z 1988 r. wyjechał „na niemieckich papierach”, czyli uzyskał w RFN status *Aussiedlera* na podstawie dokumentów o niemieckiej narodowości dziadka, ale zachował polskie obywatelstwo i dziś ma też polski paszport. Natomiast jego narzeczoną, która nie miała żadnych korzeni niemieckich, imigrowało do RFN dzięki małżeństwu z nim i wtedy musiała zrzec się obywatelstwa polskiego. Po 1990 r. wrócili do Polski, w której on jest formalnie nadal Polakiem, a ona cudzoziemką - Niemką...

Czy PRL był „krajem bez wyjścia”, jak zatytułował Pan książkę?

Tytuł jest celowo dwuznaczny. PRL, kiedy była budowana, na sowiecką modłę, miała być krajem bez wyjścia, czyli takim, z którego nie można się wydostać, który nie pozostawia innego wyjścia niż przystosowanie się do nowego reżimu. Natomiast potem, w wyniku postalinowskich reform, kolejnych zwrotów, luzowania i przykrećcia śruby, następowała stopniowa liberalizacja polityki paszportowej, aż do jej całkowitego rozkładu w końcu lat 1980. W ostatnim okresie Polacy mogli już wyjechać, ale wtedy z kolei wielu było przekonanych, że kraj pozostaje w sytuacji bez wyjścia - uwięziony pod radziecką kuratelą, pod władzą PZPR. Coraz więcej Polaków uważało, że nie ma szans na żadne reformy, że „tu się nic nie zmieni”. Dlatego, nie widząc ogólnego wyjścia dla Polski, szukali wyjścia dla samych siebie i swojej rodziny. I wielu takie wyjście znalazło - w latach 1980. wyemigrowało na stałe ok. 1,1-1,2 mln ludzi. I pewnie wyjechałoby jeszcze więcej, gdyby nie wielki rok 1989, kiedy pojawiła się szansa na zmianę, na wyjście dla wszystkich. Wtedy, zamiast zmieniać jeden kraj na inny, ojczyznę na obcy, zmieniliśmy ten kraj: oblicze tej ziemi, jak mówi pamiętny cytat.

Czy brak możliwości swobodnego wyjazdu z Polski był jednym z najbardziej dotkliwych aspektów życia w PRL?

To zależy dla kogo. Dla niektórych, zwłaszcza tych, którzy wychowali się w rodzinach z jakimiś tradycjami migracji, byli ciekawi świata lub więcej o nim wiedzieli, albo czuli odrazę do komunistycznych porządków, było to bardzo dotkliwe. Zarazem jednak dla wielu, zwłaszcza w latach 1950. czy 1960., wyjazd za granicę był jeszcze poza horyzontem wyobraźni. Świat za granicą był daleki, obcy, nie znali tam nikogo. W wielu środowiskach w Polsce nie było wcześniej tradycji migracji. Paradoksalnie, to w PRL - kraju, który miał być zrazu bez wyjścia - w wielu rodzinach ktoś po raz pierwszy wyjechał za granicę. Najpierw były to zwykle krótkie wycieczki w granicach bloku radzieckiego, do NRD czy Czechosłowacji, może praca na zagranicznej budowie. Potem horyzont wyobraźni podróży poszerzał się, pojawili się krewni i znajomi, którzy już „tam” byli.

Swoboda wyjazdu, przemieszczania się, jest swobodą podstawową. Jak stwierdza Powszechna Deklaracja Praw Człowieka: każdy człowiek ma prawo opuścić każdy kraj, wliczając w to swój własny. Inaczej ten kraj staje się domem niewoli. Wolność wyjazdu ma znaczenie fundamentalne. W latach 1980. Polacy byli coraz bardziej wyczuleni na ograniczenia tej wolności i wielu nadal o tym pamięta. Gdy w badaniach opinii publicznej w latach 1990. pytano, co III RP dała cennego, to wielu wskazywało właśnie swobodę podróży zagranicznych - zaraz za wolnością słowa.

Polska w okresie stalinizmu była - na wzór ZSRR - otoczona zaporą z drutu kolczastego...

Stary dowcip, że PRL to najweselszy barak w obozie socjalistycznym nie był tak bardzo przerośnięty. Pod koniec lat 1940. w krótkim czasie

Dok. ze s. 2

na granicy postawiono ponad tysiąc kilometrów płotu z drutu kolczastego i 1300 wież strażniczych - to naprawdę wyglądało jak obóz. Cała granica zachodnia i spora część granicy morskiej, wszystkie ujścia rzek były zadrutowane. Granica wschodnia była zadrutowana jeszcze dokładniej, ale od sowieckiej strony. Do dziś możemy oglądać ten płot na granicy z Ukrainą. Ludność okoliczna nazywa go *sistema*, bo był wyposażony w czujniki sygnalizujące próbę przedostania się. Takie ogrodzenie z drutu kolczastego ciągnęło się wzdłuż całej granicy zachodniej ZSRR i wielu odcinków gdzie indziej - w sumie było dłuższe niż mur chiński. Był to zatem największy pomnik Kraju Rad, być może widoczny z kosmosu... Władze PRL zlikwidowały zasieki na swych granicach w 1956 r., natomiast płot sowiecki trwał do końca istnienia ZSRR, a części jego istnieją nadal. Zachęcam do obejrzenia tej konstrukcji, gdy ktoś będzie w okolicach Przemyśla. Dziś, o ironio historii, ten symbol sowieckiego zniewolenia chroni naszą granicę wschodnią przed nielegalnymi imigrantami. Nie zdziwiłbym się, gdyby za jego konserwację - zadanie dość kosztowne - płaciły częściowo kraje UE...

Od prawie całkowitego zamknięcia do względnej swobody wyjazdów... Co polityka emigracyjna PRL mówi nam o kraju, który ją prowadził?

W różnych okresach mówi nam różne rzeczy i to jest też ważna obserwacja: PRL zmieniała się, i to poważnie. Początkowo polityka paszportowa była prawdziwie totalitarna, wyjazdy zagraniczne zredukowano do minimum, pozostawiając niemal wyłącznie wyjazdy służbowe, ściśle kontrolowane przez Bezpiekę. Od zasady zakazu emigracji zrobiono wtedy tylko dwa wyjątki: dla Niemców i dla Żydów. Te wyjątki wynikały z wcześniejszych precedensów - wysiedleń Niemców w latach 1940. i zgody na nielegalną, ale jawnie tolerowaną emigrację Żydów, którą władze komunistyczne wydały po pogromie w Kielcach w 1946 r., na kilka miesięcy. W 1949 r. zgodzili się ponownie na wyjazdy Żydów do nowopowstałego państwa Izrael, bo rząd Izraela za nich płacił. Skomplikowany system rozliczeń tego handlu regulowała specjalna umowa. Inni obywatele, czy raczej poddani „Polski Ludowej”, nie mieli szans na emigrację. Przestrzeń mobilności międzynarodowej została upaństwowiona, tzn. zarezerwowana dla wyjazdów służbowych, oraz zmilitaryzowana i zwoityzowana: większość ruchu osobowego przez polskie granice to ruch sowieckich żołnierzy z i do baz w Polsce i NRD.

Od 1955 r., pod wpływem destalinizacji w ZSRR, to zaczęło się zmieniać, a w 1956 r. cały system się rozchwiał. Co prawda, gdy Gomułka poczuł się pewniej, ustabilizował system, znowu „przykręcił śrubę”, jak się wtedy mówiło, ale nie powrócił do stanu sprzed 1956 r. W latach 1960. i 1970. reżim komunistyczny został, jak określił to pewien historyk, udomowiony: stał się bardziej ludzką formą dyktatury. Nadal ograniczał podstawowe wolności, ale zezwalał na różne nisze relatywnej swobody. Taką niszą były np. wycieczki do krajów socjalistycznych, względna swoboda podróży w granicach bloku, z czego po kilku latach korzystało już po kilkaset tysięcy osób rocznie. Skokowy wzrost liczby takich podróży - z 1 do 10 mln - nastąpił w 1972 r., gdy otwarto granicę z NRD. W drugiej połowie dekady Gierka łatwiejsze stały się też podróże na Zachód. Stan wojenny cofnął ten proces o kilka lat, ale od połowy lat 1980. znów „poluzowano śrubę”. Wtedy ruszyła największa fala wyjazdów z PRL na Zachód. Jednak aż do oddania władzy w 1989 r. komuniści zawsze mogli cofnąć to przyzwolenie, tak jak to zrobili 13 grudnia 1981 r., albo stopniowo, niejawnie i bezprawnie. Dzięki zmianom, które zaszły w Polsce w 1989 r., ta wolność jest teraz zagwarantowana. Nikt nam nie może jej ot tak sobie odebrać. Natomiast w PRL kierownictwo partyjne mogło w każdej chwili dowolnie ją ograniczyć wobec wszystkich, wybranych grup albo jednostek, które wciągnęto na czarną listę SB.

Mimo tej niejawności, informacje o zmianach sposobu prowadzenia polityki emigracyjnej rozprzestrzeniały się jednak wśród obywateli dość szybko...

To kapitalny dowód potęgi sieci społecznych. Uderzyło mnie, jak szybko taka wiedza rozchodziła się po Polsce, podawana z ust do ust. Ponieważ ludność masowo nie dowierzała w informacje oficjalne, plotka była ważnym i wiarygodnym źródłem informacji. To, co dzisiaj jest uważane za symbol niewiarygodności, wtedy było uznawane za nie mniej wiarygodne niż dziennik telewizyjny. Na przykład wiadomość o tak zwanym cudzie lubelskim (z ikony Madonny jako-by płynęła krew) dotarła do Szczecina w kilka dni. Plotka zdążyła więc przebiec przez całą Polskę, mimo że był ścisły zapis cenzuralny na to, co się w Lublinie działo. W podobny sposób rozprzestrzeniały się informacje o tym, że teraz łatwiej lub trudniej dostać paszport,

lub że łatwiej dostać go w Szczecinie niż Opolu, o tym jak wspaniale się żyje na Zachodzie, że ktoś tam pojechał i wrócił samochodem itd. One nierzadko były nieprawdziwe, powiedziałbym bajkowe, ale ponieważ rzeczywistość też była trochę jak ze snu, padały na podatny grunt...

Polacy ciągle „testowali” ten system, sprawdzali, na ile mogą sobie pozwolić.

Ponieważ system był niezyciowy, stawiał mnóstwo przeszkód, nierzadko absurdalnych. Trzeba było szukać sposobów na ich obejście. Była to mrówcza, niepozorna praca, krople spadające na skałę. Porządek komunistyczny, jego pisane i niepisane reguły, był testowany nieustannie w poszukiwaniu jakiejś szczeliny, niespójności, a pomysłowość testujących była nieograniczona. To naprawdę była szkoła innowacyjności i przedsiębiorczości, dowód niespożytej energii i inwencji Polaków, tyle tylko, że marnowanej na walkę z czymś, co w ogóle nie było potrzebne. Dzięki temu, że setki, a potem tysiące, osób składały podania o wydanie paszportu, testowały różne sposoby obchodzenia przepisów czy robienia czegoś nie całkiem legalnego, system był codziennie sprawdzany pod kątem swoich słabych punktów. Znalezienie takich miejsc było więc kwestią czasu, a gdy luka została znaleziona, wieść gminna roznosiła informacje, gdzie ona jest i jak ją wykorzystać. I w ten sposób tak potężny reżim w końcu przegrał, a wygrali ci słabi ludzie, uzbrojeni tylko w pomysłowość, upór i kapitał społeczny. Sieć wygrała z Urzędem. Wydaje mi się, że pokonanie komunizmu było wielkim zwycięstwem nie tylko Lecha Wałęsy i „Solidarności”, ale i nieznanych ludzi połączonych więzami wzajemnego zaufania, którzy nie ustali w poszukiwaniu tych szczelin.

Co jeszcze mówią nam te dane? Jakie były kierunki, skala emigracji?

W całym okresie, który badałem, czyli od zakończenia wielkich wysiedleń w 1948 r. do upadku PRL w 1989 r. wyemigrowało ok. 2,1-2,2 mln osób. Nie mogę podać dokładnej liczby, dlatego że gros emigracji w latach 1980., kiedy wyjechało ponad milion ludzi, to emigracja nielegalna, to znaczy wyjazdy z paszportem turystycznym, rzekomo na krótki wyjazd. Część z tych, którzy nie wracali dłuższy czas, była rejestrowana przez SB, ale w 1989 r. cały system rejestracji tego ruchu się rozsypał. Nie wiemy też, ile osób, które wyjechały bez wymeldowania, wróciło do Polski po 1989 r. Natomiast w okresach wcześniejszych - w latach 1958-1980, czyli przez większą część historii PRL - emigracji nielegalnej było niewiele i była dość szybko i skutecznie rejestrowana przez SB, więc dane MSW są dosyć ściśle.

Jeśli chodzi o kierunki wyjazdów, to z całą pewnością możemy powiedzieć, że ok. 2/3 wyjeżdżających udało się do Niemiec, tzn. RFN i NRD, przy czym po 1970 r. niemal cały strumień wyjazdów kierował się do RFN. Wcześniej, w latach 1950. i 1960. wyjazdy do NRD były jeszcze w miarę atrakcyjne, gdyż było bardzo trudno wyjechać do Niemiec zachodnich. To zresztą pokazuje, że wtedy wielu ludzi chciało wyemigrować naprawdę do jakichś Niemiec, a nie tylko do tych Niemiec bogatych i wolnych. Oznacza to, że byli to Niemcy „prawdziwi”, a nie udawani, jak to często bywało później.

Drugim krajem docelowym były Stany Zjednoczone, do których kierowało się ok. 15 proc. emigrantów. W porównaniu z odpływem do RFN, kłopot w szacowaniu tej emigracji polega na tym, że nie możemy posłużyć się danymi amerykańskimi, bo wielu z tych Polaków przebywało tam dłuższy czas nielegalnie. A zatem to, że ktoś zalegalizował swój pobyt w 1975 r., nie oznacza, że wtedy przyjechał. Do 1970 r. dość ważnym kierunkiem był Izrael, który potem przestał mieć znaczenie. Wyjazdy do pozostałych istotnych państw - Australii i Kanady - też względnie zmalały w tym okresie, zaś wyjazdy do Francji i Wielkiej Brytanii miały nieporównanie mniejszą skalę, obejmując niewiele ponad 1 proc. odpływu.

Interesująca jest Pana teza, że spadek wskaźnika średniej oczekiwanej długości życia, który miał miejsce w PRL od końca lat 1960., miał związek ze wzrostem skali emigracji. Czy można ją odnieść też do lat 1990.?

Tak, przypuszczam, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi faktami, tzn. pogorszeniem się zdrowotności w latach 1960. i 1980. oraz wzrostem pędu do emigracji. To tylko hipoteza, zresztą zawdzięcza ją w dużej mierze pracom Marka Okólskiego, ale uderzyła mnie ta zbieżność w czasie. Dla mnie ciało każdego z tych mężczyzn, chorujących i wcześniej umierających, a to przedstawiciele tej płci zaczynają wcześniej umierać, jest jakby czułym barometrem zmieniających się warunków życia. W latach 1980. ten barometr odbiera sygnały, których ważną częścią jest silny stres i narastające

Dok. ze s. 3

trudności życia codziennego. Ciężko żyje się, nie ma dobrych perspektyw na przyszłość, wzrasta poczucie alienacji, czyli tego, że rzeczy dzieją się „poza moją kontrolą”, nawet w najbliższym otoczeniu. Bardzo podobne powody wyjazdu podają emigranci.

Czy można zastosować to do Polski po roku 1989? Zdrowotność bardzo nam się poprawiła, ale nadal jesteśmy krajem emigracyjnym, a więc w moim rozumowaniu jest błąd albo trzeba je doprecyzować. Może wyjaśnienie leży w tym, że w PRL olbrzymia część migracji to jest emigracja intencjonalnie na stałe - emigranci opuszczają kraj, w którym jest im źle i zaczynają nowe życie gdzie indziej. Natomiast teraz olbrzymia część migracji jest intencjonalnie czasowa. Wielu Polaków pozostaje za granicą na dłużej, może zostanie tam na zawsze, ale nie przesądzają tego w chwili wyjazdu.

Wróćmy na moment do biurokracji paszportowej PRL. Dlaczego zdecydował się Pan poświęcić jej osobny rozdział?

Historia pionu paszportowego MSW jest też dla mnie wycinkiem historii całej Służby Bezpieczeństwa i aparatu państwowego PRL w ogóle. Próbuje zrozumieć, jak ta instytucja działała. Sam fakt, że akta paszportowe stanowiły większość archiwów SB jest godny uwagi. Bo co to znaczy? To, że większość informacji, przynajmniej w sensie objętościowym, którymi SB dysponowało, pochodziło od samych obywateli, którzy wypełniając formularze, jakby donosili na samych siebie. Gdy SB namierzała jakiegoś nieznanego sobie bliżej osobnika, to najpierw sprawdzano go w aktach paszportowych. Jeśli kiedykolwiek wyjeżdżał za granicę, to musiał taki kwestionariusz wypełnić, opisać w nim nie tylko siebie, ale i swoją rodzinę. Zachęcam wszystkich, którzy taki kwestionariusz wypełnili, do zajrzenia do swojej teczki i sprawdzenia, co ciekawo esbeka, który go czytał. Na moich kwestionariuszach zaznaczył informacje, że znam parę języków obcych i mam krewnego w Anglii. Być może gdyby ten krewny był np. inżynierem i miał dostęp do nowych technologii, to mówiąc językiem SB ja bym „wszedł w operacyjne zainteresowanie”, tzn. podjęliby próbę wykorzystania mnie w dotarciu do niego. Na szczęście on tylko prowadził sklep spożywczy...

Doceniłem też subtelność psychologiczną tego kwestionariusza, a zwłaszcza ostatniego punktu jego starszej wersji, obowiązującego przez większość okresu PRL. Ten punkt miał nagłówek „inne ważne informacje” - nie było tam pytania wprost, a jedynie zachęta do dopisania czegoś, co petent uzna za właściwe. SB pytała się w ten sposób: „Obywatelu, jak myślisz, co jeszcze powinniśmy wiedzieć, czego nie powinienś przed nami ukrywać?”. Czytałem protokół z posiedzenia kierownictwa MSW, na którym pewien doświadczony oficer nalegał, by pozostawić tam sporo miejsca. Psychologicznie to było genialne, mimo że skądinąd ci funkcjonariusze to nie byli geniusze, raczej dość przeciętne postacie.

Kim byli ci ludzie?

Po pierwsze, w różnych momentach historii PRL to są trochę różni ludzie. W okresie, kiedy jest najtrudniej z Polski wyjechać, czyli w okresie stalinowskim, to są twardogłowi ubecy. Dyrektorem Biura Paszportów był wtedy były szef bezpieki w Kielcach, ten, który odegrał dziwną rolę podczas pogromu w 1946 r. Zresztą jego władza była ograniczona: nawet on mógł tylko odmawiać paszportu, a nie go dawać, bo jego decyzje były zatwierdzane, lub nie, w KC. Decyzje były podejmowane na wysokim szczeblu, Bezpieka była tylko jednym z aparatów, który przygotowywał dokumentację. Potem, po 1956 r., nastąpiła decentralizacja. Decyzję paszportową podejmował najpierw dyrektor Biura Paszportów MSW w Warszawie, potem szef wydziału paszportowego w Komendzie Wojewódzkiej MO, a od lat 1970. szef rejonowego urzędu spraw wewnętrznych, czyli komendy powiatowej. A zatem władza zaczęła się rozpraszać, decyzja była podejmowana na coraz niższych szczeblach, przez oficera, kapitana czy nawet porucznika SB. Inaczej były traktowane wyjazdy do krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. Te drugie były z reguły zatwierdzane o szczebel wyżej niż te pierwsze.

Natomiast olbrzymia większość pracowników aparatu paszportowego to kobiety - urzędniczki, które przyjmują formularze, porządkują, sprawdzają, wkładają do segregatorów. Personel pionu paszportów był silnie sfeminizowany. *Nota bene* to często byli członkowie rodzin oficerów SB, ich żony czy siostry. Po przejrzeniu paru teczek funkcyjnych SB dochodzę do wniosku, że łączy ich to, iż niemal każdy ma jakąś rodzinę w resorcie: brata, szwagra, żonę, wujka itd. SB była więc *de facto* organizacją klanową, a o tym, że ktoś był rekrutowany, decydowały w pewnym sensie osobiste sieci.

Te urzędniczki nie miały kluczy do raju. One tylko przedstawiały wnioski do decyzji oficerom SB. Mogły swe stanowisko czasami wykorzystywać. Z kilku dochodzeń wewnętrznych w sprawach korupcji wynika, że sprytna urzędniczka potrafiła czasami tak to zrobić, żeby wydano paszport komuś, komu on się nie należał. Tak więc człowiek przedsiębiorczy i inteligentny da sobie radę nawet wtedy, gdy jest na najniższym szczeblu administracji.

To zdumiewające, że w okresie stalinizmu decyzje były podejmowane absolutnie na najwyższym szczeblu...

To tak jakby dzisiaj podejmował je wicepremier. Ale skoro w 1952 r. wydano tylko 50 zezwoleń na prywatny wyjazd na Zachód, to nie mieli z tym zbyt dużo pracy. W owym czasie łatwiej było zostać ministrem niż emigrantem - Rada Ministrów liczyła 42 osoby, a każdy minister miał kilku zastępców, więc było ich powyżej setki.

Niektórzy historycy, dokonując bilansu czarnej dekady lat 1939-1948, twierdzą, że ujednoczenie narodowościowe, które dokonało się w wyniku przymusowych przesiedleń w tym okresie, ma obecnie pozytywne skutki dla Polski, bo pozwala uniknąć konfliktów o podłożu etnicznym. Czy zgadza się Pan z tą tezą? I czy to ujednoczenie było aż tak pełne?

Stopień ujednoczenia był rzeczywiście olbrzymi, jeżeli porównamy go z dawną Polską, która nigdy w swojej tysiącletniej historii nie była homogeniczna etnicznie. Wymordowanie Żydów podczas drugiej wojny światowej, ucieczka Niemców jeszcze podczas wojny i ich deportacja po jej zakończeniu oraz wymiana ludności przez granicę polsko-sowiecką - to było wielkie ujednoczenie etniczne. Niemniej w Polsce pozostały znaczące grupy ludności, które nie uważały się za Polaków lub nie były do końca pewne, czy są Ślązakami, Polakami, czy Niemcami. Twierdzenia z lat 1950. czy 1960., że w Polsce jest tylko 5 tys. Niemców, były kłamliwe i śmieszne. Z drugiej strony Niemców w Polsce było dużo mniej niż twierdził w tym czasie rząd RFN, który stał na stanowisku, że - 1,2 mln. A zatem odpowiedź na pytanie o ujednoczenie jest dwoista: było w porównaniu z przeszłością, ale nie takie jak twierdziły władze PRL.

Czy to było dobre? Nie. Zupełna jednolitość etniczna jest niebezpiecznym fantazmatem, nie może też być celem samym w sobie. Uważam, że państwa powinny przystosować się do społeczeństw, a nie odwrotnie. Celem każdego państwa jest dobro jego obywateli - wszystkich i każdego z osobna. To ono ma służyć ludziom, a nie odwrotnie. Inżynieria społeczna w postaci masowych przesiedleń jest świadectwem mrocznej strony XX w. Czy dzięki wysiedleniom i ludobójstwu uniknęliśmy konfliktów etnicznych? Jak wskazuje np. rok 1968, albo istniejące w Polsce do dziś przejawy antysemityzmu, antysemityzm ma się świetnie i bez Żydów: czy Żydzi stanowią 10 proc. populacji, czy 0,2 proc., dla antysemity jest ich za dużo. Podobnie z Ukraińcami. Z drugiej strony uważam, że wysiedlenie Niemców po drugiej wojnie światowej było złe, ale chyba nieuniknione. Rządy niemieckie w okupowanej Polsce były tak okrutne i zbrodnicze, że chyba nikt wówczas poważnie nie myślał, że Polacy i Niemcy dalej mogliby mieszkać koło siebie. Wysiedlenia trzeba widzieć jako skutek okupacji niemieckiej. Nie jako sprawiedliwą odpłatę - bo niedola niemieckich cywilów, kobiet i dzieci nie była przecież aktem sprawiedliwości - lecz jako konsekwencję.

Analizując migracje w latach 1980., pokazuje Pan, w jaki sposób przekładają się one na wyjazdy w latach 1990., a także w minionej dekadzie. Jakie dawniejsze zjawiska wskazałby Pan jako te, które do dzisiaj mają największy wpływ na kształtowanie procesów migracyjnych?

Historyk wie, że każda rzecz ma swoje korzenie. Jednym ze sposobów analizowania i objaśniania zjawisk współczesnych jest wyjaśnianie poprzez genezę, przez te źródła właśnie. Oczywiście pewne dzisiejsze procesy społeczne są charakterystyczne dla epoki wolnego rynku, swobody przepływu osób w UE itd., ale nawet te zachowania, stworzone i rozwijające się w gruntu nowych warunkach, korzystają z pewnych społecznych wzorów zachowań wykształconych wcześniej. Mam tu na myśli upowszechnienie się w latach 1980. migracji czasowych i przekonania, że jest to skuteczny i szanowany w społeczeństwie sposób radzenia sobie z problemami, rozwiązywania różnego rodzaju codziennych kłopotów, zwłaszcza ekonomicznych. Nie twierdzę, że historia wyjaśnia wszystko, ale ignorowanie jej sprawia, że bardzo wielu rzeczy nie możemy zrozumieć. Moja książka ma między innymi pokazać, jakie było wczoraj naszych współczesnych migracji. Chciałem, żeby była użyteczna także dla ludzi, którzy zajmują się podobną tematyką na co dzień.